

Dźwięk dzwonek będzie nieść się bez końca

Był bezbarwny poranek wczesnej wiosny. Siedziałem na ławce w niewielkim parku, kiedy usiadł przy mnie mężczyzna, który wyglądał tak, jakby za chwilę miał trafić do szpitala. Przez pewien czas obaj w milczeniu patrzyliśmy w bezbarwną, podmokłą ziemię tego miejsca, gdzie wszystko dopiero topniało, znaki odnawiającego się życia wyglądały na niepewne, a kontury nagich gałęzi drzew odcinały się wyraźnie na tle szarego nieba. Widywałem tego człowieka bywając tu wcześniej, a kiedy przedstawił się po imieniu, przypomniałem sobie, że był chyba jakimś biznesmenem. Pomyślałem: „przedstawiciel handlowy”, nadal siedząc i wpatrując się w cienkie, ciemne gałęzie i szare niebo nad nimi. Nasza cicha i nieco niepewna rozmowa zesłała na temat pewnego miasta położonego niedaleko północnej granicy, gdzie niegdyś mieszkałem. „Minęło wiele lat, odkąd tam byłem”, rzekł mężczyzna. Opowiedział mi potem o czymś, czego doświadczył, kiedy podróżował do odległych miejsc, załatwiając interesy dla firmy, której był - aż do wtedy - wieloletnim, oddanym przedstawicielem.

Była, jak opisywał, późna noc, a on potrzebował noclegu przed dalszą podróżą do miejsca leżącego za północną granicą. Jako

niegdysiejszy mieszkaniec tego miasta, wiedziałem, że były tam dwa punkty, gdzie mógł się zatrzymać. Jednym z nich był pensjonat położony w zachodniej dzielnicy, który w rzeczywistości stanowił dom publiczny, odwiedzany głównie przez podróżnych przedstawicieli handlowych. Drugie z tych miejsc, położone gdzieś w dzielnicy wschodniej – niegdyś bogatej, obecnie zaś niemal całkowicie opustoszałej – stanowił, według plotek, opuszczony niegdyś dom, który przerobiono później na hostel prowadzony przez starszą kobietę zwaną panią Pyk. Krążyły słuchy, że zanim osiedliła się w mieście spod północnej granicy, występowała na rozmaitych, pobocznych widowiskach karnawałowych – z początku jako tancerka egzotyczna, później zaś jako wróżbiarka. Przedstawiciel handlowy powiedział mi, że nie potrafił stwierdzić, czy fakt, że trafił do wschodniej części miasta, gdzie tylko w nielicznych oknach paliły się światła, był wynikiem błędnych wskazówek, czy też czyjejś celowej złośliwości. W każdym razie bez trudu zauważył znak: „PUSTE POKOJE¹” stojący obok schodów, prowadzących do olbrzymiego domu. Budynek ten miał liczne, niewielkie wieżyczki, które wyrastały z jego fasady, a miejscami również bezpośrednio z wieńczącego konstrukcję, strzelistego dachu. Mimo ponurego wyglądu tego domu (jak to określił mój towarzysz z parku,

1 Org. VACANCY – również pustka, bezmyślność, zubożenie

„zrujnowany, miniaturowy zamek”) i opustoszałej okolicy, nie zawahał się ani na moment, by wejść po schodach prowadzących na przedsionek. Wcisnął dzwonek przy drzwiach – jego dźwięk był, jak opisał, z rodzaju tych „brzęczących”, nie przypominających bicie dzwonów. Dodał jednak, że oprócz hałaśliwego brzęczenia, jakie się rozległo po wciśnięciu przycisku, słychać było też „grzechocące dzwonięcie”, przypominające dzwonki przy saniach. Kiedy w końcu otworzyły się drzwi, ukazując twarz pani Pyk pokrytą grubą warstwą makijażu, przedstawiciel handlowy zapytał zwyczajnie: „Czy są wolne pokoje?”

Kiedy wchodził do przedsionka, kobieta zatrzymała go, wskazując swą chudą, drżącą dłonią otwartą księgę rejestracji, leżącą na pulpicie w rogu pomieszczenia. Na liście gości nie było ani jednego nazwiska, mimo to przedstawiciel handlowy bez wahania sięgnął po pióro leżące między stronami otwartej księgi i wpisał:

Q. H. Crumm. Zwróciwszy się w stronę pani Pyk, pochylił się, by sięgnąć po swą małą walizkę. Wtedy to po raz pierwszy dojrzał lewą dłoń pani Pyk, nie dotkniętą starczym drzeniem. Dłoń ta była równie wątła jak prawa, stanowiła jednak protezę - wyglądała, jakby należała do starego manekina, z odklejającymi się w kilku miejscach płacami lakierowego naskórka. Dokładnie w tym momencie pan Crumm zdał

sobie sprawę z „upajająco niedorzecznego” położenia, w jakim się znalazł, czuł przy tym jednak wielką ekscytację, której źródła nie potrafił nazwać. Leżało ono poza wszystkimi jego dotychczasowymi wyobrażeniami - w miejscu, którego nawet nie byłby w stanie sobie wyobrazić.

Starsza kobieta wiedziała, że Crumm zauważył jej sztuczną dłoń. „Jak pan widzi” powiedziała powolnym, ochrypłym głosem, „potrafię doskonale o siebie zadbać, choć niektórzy durnie próbują mnie wpłatać w najgorsze kłopoty. Co prawda nie odwiedza mnie tylu podróżnych, jak dawniej, ale gdyby zależało to od pewnych ludzi, na pewno nie miałabym już żadnych gości”, dokończyła.

Upajająco niedorzeczne, pomyślał pan Crumm. Mimo to, kiedy pani Pyk wprowadziła go do wnętrza domu, pobiegł za nią jak mały piesek. Budynek był tak słabo oświetlony, że nie sposób było dojrzeć jakichkolwiek elementów jego wystroju, przez co Crumm miał odurzające wrażenie, że kunsztowne cienie tego miejsca go otulają. Uczucie to narosło, kiedy starsza kobieta sięgnęła po małą, ledwie żarzącą się w ciemnościach lampkę i podkręciła knot palcem swej prawdziwej dłoni. Światło zepchnęło w głąb część cieni, groteskowo powiększając liczne pozostałe. Po chwili, kobieta poprowadziła Crumma do pokoju na górze schodów, trzymając lampkę w swej

prawdziwej ręce, a protezie pozwalając zwisać bezwładnie u boku. Z każdym krokiem w górę schodów, jaki stawiała pani Pyk, przedstawiciel handlowy słyszał niewyraźnie to samo dzwonięcie małych dzwoneczków, które zarejestrował po raz pierwszy stojąc na zewnątrz domu w oczekiwaniu na otwarcie drzwi. Dźwięk był jednak na tyle słaby i przytłumiony, że Crumm wołał uznać, że stanowił on echo wspomnienia, albo wytwór jego błędzącej wyobraźni.

Pokój, w którym pani Pyk w końcu ulokowała gościa, znajdował się na najwyższym piętrze domu, tuż obok krótkiego, wąskiego korytarzyka prowadzącego na strych. „Wtedy jeszcze nie widziałem w tym ulokowaniu nic dziwnego”, powiedział mi pan Crumm, siedząc przy mnie na ławce w parku, wpatrując się w bezbarwny, wczesnowiosenny poranek. Odparłem, że tego rodzaju zaćmienia rozsądku nie były rzadkością w pensjonacie pani Pyk, a przynajmniej takie dochodziły mnie słuchy w czasach, kiedy mieszkałem w mieście nieopodal północnej granicy.

Gdy dotarli w końcu do korytarza na najwyższym piętrze domu – opowiadał dalej Crumm – pani Pyk odłożyła lampkę na stoliku znajdującym się nieopodal szczytu ostatniego rzędu schodów. Wyciągnęła dłoń, by wcisnąć mały przycisk na jednej ze ścian, włączając tym samym oświetlenie zamontowane po obu stronach

korytarza. Światło było posępne – przenikliwie posępne, jak określił je Crumm – starczyło jednak, by wyłonić gęste wzory pokrywające tapetę i wykładzinę wyłożoną na podłodze. Jeden z końców korytarza prowadził na strych, drugi zaś do pokoju, w którym przedstawiciel handlowy miał spędzić noc. Kiedy pani Pyk otworzyła drzwi i wcisnęła kolejny niewielki przycisk znajdujący się na ścianie w jego wnętrzu, Crumm zauważył, jak ciasne i surowe było pomieszczenie, w którym go ulokowano. Nie miało to, jak sądził, żadnego uzasadnienia, zważając na ewidentną przestronność bądź „mroczną wytworność” tego domu. Crumm nie wyraził sprzeciwu (podkreślał, że wcale go też nie odczuwał) i z cichym posłuszeństwem położył walizkę obok małego łóżka, które nie miało nawet zagłówka. „Łazienka jest kilka kroków włąb korytarza,” powiedziała pani Pyk, nim opuściła pomieszczenie, zamykając za sobą drzwi. Przebywając w ciszy, Crummowi zdało się, że znów słyszy dźwięk dzwoneczków zanikający w ciemności wielkiego domu.

Choć przedstawiciel handlowy miał za sobą dość długi dzień, nie czuł się ani trochę zmęczony. Zapewne przekroczył już stan całkowitego wyczerpania – myślał na głos, siedząc przy mnie na ławce w parku. Przez pewien czas leżał na przykrótkim łóżku, nadal ubrany, zawieszając wzrok na pokrytym kilkoma zaciekami suficie.

Musiał znajdować się w pokoju położonym blisko dachu domu – pomyślał – i najwyraźniej dach ten był uszkodzony, bo w czasie burzowych dni deszcz lał się swobodnie do wnętrza strychu. Nagle, w dziwny sposób jego myśli przyłgnęły do owego strychu oraz drzwi znajdujących się zaraz na końcu korytarza, naprzeciwko jego pokoju. *Tajemnica starego strychu*, szepnął do siebie Crumm, leżąc na miniaturowym łóżku na piętrze ogromnego domu otulających cieni. W miarę, jak narastała w nim ekscytacja strychem i jego tajemnicami, budziły się także uczucia i impulsy, których istnienia nawet nie podejrzewał. Był podróżnym przedstawicielem handlowym potrzebującym odpoczynku przed nadchodzącym dniem, jednak potrafił myśleć wyłącznie o tym, by wstać z łóżka i pójść słabo oświetlonym korytarzem w kierunku drzwi prowadzących do strychu cienistego domu pani Pyk. Jak sam siebie przekonywał, szedł tym korytarzem wyłącznie po to, aby skorzystać z łazienki. Crumm minął ją jednak, by chwilę później obserwować bezradnie, jak zmierza na strych, otwierając po drodze prowadzące doń, niezamknięte drzwi.

Powietrze wewnątrz pomieszczenia pachniało słodko i zatęchle. Światło księżycy wpadało przez małe, ośmiościenne okienko, prowadząc go przez ciemne pobjowisko w kierunku żarówki wiszącej na grubym, czarnym kablu. Sięgnął w górę i przekręcił mały

przełącznik wystający z boku jej mocowania. Mógł teraz zobaczyć otaczające go skarby, których odkrycie przyprawiało o dreszcz ekscytacji. Crumm opowiadał, że miejsce to wyglądało jak sklep kostiumowy, albo szatnia jakiegoś teatru. Otaczał go świat dziwacznych strojów wysypujących się z głębin dużych, uchylonych kufrów oraz wysokich, wiszących w ciemnościach, otwartych szaf. Po chwili zdał sobie sprawę, że większość tych ubrań stanowiła pozostałość z czasów, kiedy pani Pyk była tancerką egzotyczną, a później wróżbiarką na różnego rodzaju pobocznych widowiskach karnawałowych. Crumm pamiętał zresztą, że zauważył rozwieszane na ścianach, wyblakłe plakaty, przedstawiające dwa różne etapy dawnego życia tej starszej kobiety. Jeden z plakatów przedstawiał tańczącą dziewczynę, uchwyconą w połowie obrotu, w wirze otaczających ją jedwabiów, z twarzą odwróconą od znajdującego się niżej zarysu głów reprezentujących publiczność – stłoczonego zbiorowiska łysin i meloników. Inny plakat przedstawiał parę czarnych, wpatrzonych oczu, o długich, pajęczych rzęsach. Nad nimi znajdowały się wydrukowane serpentynową czcionką słowa: Pani Fortuny. Poniżej oczu, tą samą groteskową stylizacją napisane było proste pytanie: JAKA JEST TWOJA WOLA?²

2 Org. WHAT IS YOUR WILL?

Oprócz porzuconych elementów garderoby egzotycznej tancerki i tajemniczej wróżbiarki, leżały tam również inne ubrania i kostiumy. Były one porzucane po całym strychu, tym „raju przeszłości”, jak zaczął go określać Crumm. Jego dłonie drżały, chwytając walające się po podłodze czy zarzucone na lustro szafy wszelkiej maści stare przebrania, kunsztowne stroje klaunów szyte z bogatego aksamitu i błyszczącego, kolorowego jedwabiu. Błądząc po delirycznym świecie tego strychu, Crumm odnalazł wreszcie coś, czego szukał, choć wcześniej ledwie zdawał sobie z tego sprawę. Oto i on – pogrzebany na dnie jednej z największych skrzyń – kompletny strój błazna z miękkimi trzewikami o zawiniętych końcówkach i rozwidlającą się na dwie części czapką, której dzwonki dzwoniły, kiedy zakładał ją na głowę. Cały kostium był szaloną łataniną wielobarwnych materiałów. Gdy zdjął ubranie, które nosił jako przedstawiciel handlowy, okazało się, że nowy kostium pasował na niego idealnie. Podwójne zwieńczenie czapki błazna przypominało bliźniacze rogi ślimaka – zauważył Crumm, spoglądając na swe odbicie w lustrze – z tą różnicą, że te u jego czapki opadały w dół i dzwoniły za każdym razem, kiedy potrząsnął głową. Dzwonki przyszyte były również do skierowanych w górę czubków trzewików; wisiały też poprzymocowane tu i ówdzie na całej długości stroju. Crumm wprawiał je wszystkie w dźwięczący taniec podskakując

przed lustrem zamocowanym w szafie, wpatrując się w postać, w której nie potrafił już rozpoznać siebie – tak bardzo był zagubiony w nieznanym mu dotąd świecie odczuć i impulsów. Powiedział mi, że nie pozostało w nim zupełnie nic z jego dawnego życia przedstawiciela handlowego. Wszystko, co dla niego teraz istniało, to kostium błazna otulający jego ciało, dźwięk dzwoneczków i odbijająca się przed nim w lustrze zwiotczała twarz głupca.

Chwilę później – opowiadał – osunął się twarzą w dół na zimną posadzkę, leżąc w całkowitym bezruchu, wycieńczony zadowoleniem, jakie odnalazł w tym zatęchłym raj. Wtedy ponownie rozległ się dźwięk dzwoneczków, Crumm nie potrafił jednak określić dokładnie jego źródła. Słyszał je mimo, że jego ciało ciągle leżało nieruchomo, pogrążone w stanie sennego paraliżu. Pomyślał, że gdyby tylko mógł otworzyć oczy i obrócić się, zobaczyłby skąd to dzwonienie dochodzi. Wkrótce porzucił tę myśl, gdyż całkowicie przestał czuć swoje ciało. Dźwięk dzwoneczków stawał się coraz głośniejszy i brzmiał teraz tuż koło jego uszu – mimo, że nie był w stanie poruszać głową, na której znajdowały się dzwonki jego rozwidlonej czapki błazna. Wtedy też usłyszał głos mówiący do niego, „Otwórz oczy... twój widok cię zaskoczy.” Kiedy podniósł powieki, zobaczył w lustrze szafy swą twarz: malutką twarz na malutkiej głowie błazna zatkniętej na końcu

kijka, jakby batuty w paski, przypominającej cukierkową laskę, trzymanej w drewnianej dłoni pani Pyk. Potrząsała nim jak dziecięcą grzechotką, sprawiając, że dzwoneczki na malutkiej głowie pana Crumma dźwięczały szaleńczo. Spoglądając w lustro, widział swe bezradne ciało leżące bez ruchu na podłodze strychu, zaś jego umysł wypełniła jedna, trawiąca myśl: *być głową zatknietą na patyk, trzymany w drewnianej dłoni pani Pyk. Na zawsze... na zawsze.*

Następnego poranka, kiedy Crumm się obudził, pierwszym wrażeniem, jakie do niego dotarło, był dźwięk deszczu bębniącego o dach nad jego pokojem. Leżał na łóżku, nadal w pełni ubrany, a pani Pyk potrząsała nim delikatnie swą prawdziwą dłonią mówiąc: „Proszę się obudzić, panie Crumm. Jest późno i musi się pan udać w dalszą podróż. Ma pan interesy do załatwienia za granicą”. Crumm chciał coś odpowiedzieć, jakoś przedstawić jej to, co opisał jako swą „przygodę na strychu”, jednak szorstki, formalny i całkowicie obojętny ton głosu pani Pyk dawał mu wyraźnie do zrozumienia, że nie otrzyma odpowiedzi na żadne ze swoich pytań. Tak czy inaczej, bał się poruszyć tą kwestią otwarcie. Czuł, że jeśli chce pozostać w dobrych stosunkach z tą kobietą, nie powinien tego robić. Chwilę później stał więc z walizką w ręce u progu ogromnego domu, przeciągając nieco swe odejście, by raz jeszcze spojrzeć na mocno umalowaną twarz pani

Pyk i zapamiętać widok sztucznej dłoni zwisającej u jej boku.

„Mógłbym zatrzymać się tu kiedyś ponownie?”

„Jak pan sobie życzy,” odpowiedziała pani Pyk przytrzymując drzwi przed wychodzącym gościem.

Po zejściu z ganka, Crumm odwrócił się szybko, pytając: „a mógłbym zostać w tym samym pokoju?”

Pani Pyk zamknęła już jednak drzwi, a jedyną odpowiedzią – jeśli za taką można to uznać – był ledwie słyszalny dźwięk małych dzwoneczków.

Po załatwieniu interesów po drugiej stronie północnej granicy, pan Crumm powrócił do domu pani Pyk. Odkrył jednak, że w czasie jego krótkiej nieobecności, miejsce to doszczętnie spłonęło. Powiedziałem mu – kiedy siedzieliśmy na ławce w parku, wpatrując się w bezbarwny, wczesnowiosenny poranek – że o pani Pyk i jej domu od zawsze krążyły różnego rodzaju pogłoski. Pewni historycy sugerowali, że za podpaleniem kończącym działalność pani Pyk w dzielnicy wschodniej, stała pani Glimm, prowadząca pensjonat w dzielnicy zachodniej. Kobiety te były podobno współniczkami, czy partnerkami w interesach, a ich domy, odpowiednio we wschodniej i zachodniej dzielnicy miasta spod północnej granicy, działały wówczas

dla ich obopólnej korzyści. Musiało jednak dojść do jakiegoś rozłamu, gdyż w pewnym momencie wytworzyła się między nimi zacięta wrogość. Pani Glimm, opisywana czasem jako „osoba niezwykle chciwa”, przestała tolerować konkurencję swego dawnego sprzymierzeńca. Po mieście spod północnej granicy rozeszły się słuchy, że pani Glimm zleciła komuś napaść na panią Pyk w jej własnym domu, w wyniku czego straciła ona swą lewą dłoń. Ostatecznie okazało się jednak, że plan podkopania ambicji konkurenta obrócił się przeciw swemu pomysłodawcy. Po tym ataku, pani Pyk przeszła dramatyczną przemianę – podobnie zresztą jak metody, jakimi prowadziła swój dom we wschodniej dzielnicy. Owa niegdysiejsza tancerka egzotyczna, później zaś Pani Fortuny, od zawsze była znana jako kobieta o niezwykłej woli i nadzwyczajnych talentach, jednak po tym, jak jej odcięta dłoń zastąpiono protezą z drewna, najwyraźniej zyskała niewyobrażalną moc, którą w całości ukierunkowała na jeden cel – wykluczenie z interesu swej byłej partnerki, pani Glimm. To właśnie wtedy zmieniła sposób prowadzenia pensjonatu. Za pomocą pewnych niezwykłych metod pani Pyk sprawiała, że ilekroć zatrzymywali się u niej podróżni przedstawiciele handlowi, którzy uprzednio gościli w pensjonacie pani Glimm, zawsze wracali do niej, nigdy zaś do położonego w zachodniej dzielnicy domu konkurentki.

Wspomniałem panu Crummowi, że żyłem w mieście spod północnej granicy dostatecznie długo, by przy różnych okazjach słyszeć, że goście powracali do pani Pyk tak długo, aż pewnego dnia odkrywali, że nie są już w stanie jej opuścić. Pogłoskę tę do pewnego stopnia potwierdziło coś, co odnaleziono po pożarze pośród ruin domu pani Pyk. Okazało się, że było tam mnóstwo malutkich pokoi, z których wszystkie, nawet te znajdujące się w najgłębszych rogach przepastnej piwnicy, skrywały zwęglone ludzkie szczątki. To, co po nich zostało – a siła pożaru była ogromna – wskazywało, że miały na sobie jakiś nietutejszy strój, jakby cała budowla stanowiła gniazdo przebierańców. W świetle wszystkich opowieści krążących po mieście, nikt nie wspominał nawet, jak nieprawdopodobny, a nawet niedorzeczny zdawał się fakt, że żadnemu z lokatorów domu pani Pyk nie udało się uciec. Niemniej – jak wyjaśniłem Crummowi – mimo najstaranniejszych poszukiwań nadzorowanych przez panią Glimm, ciało samej pani Pyk nigdy nie zostało odnalezione.

Chociaż dałem Crummowi do przemyślenia wszystkie te fakty, siedząc z nim na ławce w parku, w pewnym momencie zaczął sprawiać wrażenie, jakby jego umysł odpłynął w jakieś odległe miejsce, a on sam jeszcze pilniej powinien trafić do szpitala. W końcu odezwał się jednak, prosząc bym potwierdził to, co powiedziałem o

braku ciała pani Pyk wśród innych zwłok wydobytych z popiołów, jakie zostawił ogień. Potwierdziłem swą wcześniejszą wypowiedź, nalegając przy tym, by rozważył miejsce i okoliczności leżące u źródła tych zdarzeń, jak i wszystko inne, co zostało powiedziane przez nas obu o poranku owej wczesnej wiosny. „Pamiętaj swe własne słowa”, powiedziałem do Crumma.

„Które słowa?” - spytał.

„Upajająco niedorzeczne,” odparłem, starając się wyciągnąć brzmienie każdej sylaby, jakbym chciał nasycić je prawdziwym sensem, albo przynajmniej jakoś je udramatyzować. „Byłeś tylko pionkiem,” powiedziałem. „Ty i wszyscy pozostali byliście ledwie pionkami w starciu między siłami, których nie byliście w stanie pojąć. Twoje impulsy nie należały do ciebie. Były równie sztuczne jak drewniana dłoń pani Pyk.”

Przez moment odniosłem wrażenie, że Crumm wraca do zmysłów, jednak chwilę później powiedział, jakby do siebie, „Nigdy nie odnaleziono jej ciała”.

„Nie, nie odnaleziono,” odparłem.

„Ani nawet jej dłoni,” powiedział retorycznym tonem. Znow potwierdziłem.

W tym momencie Crumm zamilkł, a kiedy opuszczałem go tamtego poranka, nadal wpatrywał się w wypłowiałą, wilgotną przestrzeń parku, ze spojrzeniem osoby, która popadła w jakiś historyczny trans, czekając cicho na dźwięk bądź znak, który mógłby sięgnąć jego świadomości. Widziałem go wtedy po raz ostatni.

Zdarzają się bezsenne noce, kiedy rozmyślam o panu Crummie – przedstawicielu handlowym i o rozmowie, którą odbyliśmy tamtego dnia w parku. Myślę również o pani Pyk i jej domu ze wschodniej dzielnicy miasta spod północnej granicy, w którym kiedyś żyłem. W chwilach tych sam prawie słyszę cichy dźwięk dzwonków w ciemności, a mój umysł wyrusza na poszukiwanie straceńczego marzenia, które nie jest moje. Możliwe, że marzenie to ostatecznie nigdy nie miało właściciela, nieważne jak wiele osób stało się jego całkowitą, beznadziejnie oddaną własnością.